

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 50 zł.
 $\frac{1}{2}$ „ — 25 „
 $\frac{1}{4}$ „ — 13 „
 $\frac{1}{8}$ „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Pod adresem prasy wileńskiej.

Proces Konstantego Staszysa, b. prezesa b. Narodowego Komitetu Litewskiego, który się skończył skazaniem podsądnego przez Wileński Sąd Okręgowy, a więc w pierwszej instancji, na rok więzienia i zapłacenie 10.000 zł. kary za wykroczenia przeciwko dekretowi dewizowemu, — wywołał w prasie polskiej liczne i obszernie komentarze. Rzecz prosta, dzienniki wileńskie poświęciły tej sprawie najwięcej miejsca. Niestety, czytając wstępne artykuły „Słowa”, „Kuryera Wileńskiego” i „Dziennika Wileńskiego”, omawiające wyrok sądu, miało się wrażenie, że pisane one były nie w grodzie Gedyminowym, lecz w jakimś dalekiem mieście, po tamtej stronie Bugu.

Znajdujemy więc w „Dzienniku Wileńskim” taki oto ustęp w artykule „Proces Staszysa”:

„Dla nikogo w Wilnie nie było tajemnicą, że działalność organizacyj litewskich tu na miejscu jest podtrzymywana i podsycana z Kowna i że w wielu wypadkach przekracza ona założenia kulturalno-charytatywne, którym teoretycznie służy. Możemy nawet powiedzieć, że oddawna oczekiwano, że działalność ta zostanie powstrzymana przez właściwe czynniki i dlatego zapowiedź procesu wywołała nie tylko zainteresowanie, ale i zadowolenie, że zostanie położony koniec antypańskowemu knowaniu, mającym swe źródła zagranicą.

„Jeżeli wyrażono w związku z tą sprawą zdziwienie, to dotyczyło ono przede wszystkim tego, że sprawa została [wszczęta tak późno, jak również, że oskarżony K. Staszys broniony jest przez ten, a nie inny zespół obrońców”.

Ha, istotnie dzieją się dziwne rzeczy na świecie. Czy może być coś bardziej dziwaczniejszego, jak panoszenie się w dawnej stolicy W. Ks. Litewskiego elementów endecko-wszechpolskich i traktowanie przez nich odwiecznych mieszkańców tego kraju w sposób, przypominający niezmiernie ton przedwojennego „Wil. Wiestnika” w stosunku do miejscowej ludności polskiej?

Z innego punktu widzenia ujmuje sprawę „Kuryer Wileński”. Naczelnicy publicysta tego półurzędowego organu p. Piotr Lemiesz w art. „Próba logicznego myślenia” pisze m. in. co następuje:

„Człowiek, o którym wszyscy wiemy, że spełniał nieoficjalną rolę jak gdyby konsula litewskiego w Wilnie, jest oskarżony przeciwko nie tylko o nielegalny przewóz dewiz, ale zarzuca się mu przy okazji i zdradę stanu, i sprzeniewierzenie części powierzonych mu sum, stanowiących własność organizacyj litewskich. Prokurator zawiaduje proces oczywiście tylko w sprawie zdrady stanu, a równocześnie oświadcza, że zbadanie sposobu wykorzystania sum pieniężnych, powierzonych Staszysowi przez jego rodaków, pozostawia rządowi republiki litewskiej”.

Na temat powyższy — rzekomej niesumienności b. prezesa b. Narodowego Komitetu Litewskiego — rozpisuje się p. Lemiesz szeroko, jakby ubolewając, że „rząd litewski i organizacje litewskie w Polsce, do których adresowano przesyłki pieniężne i niewiadomo, czy doszły, nie mają możliwości upomnienia się o swoje prawa przed właściwą instancją”.

Widocznie autor nie czyta „Biuletynu Kowieńskiego”. Gdyby zajrzał do NN 1676 — 1679 i zapoznał się z cytowanymi w tych numerach artykułami prasy kowieńskiej, toby się przekonał, że pomawianie p. K. Staszysa o jakieś malwersacje pieniężne jest wyłącznie objawem złej woli i nie nadaje się jako temat do artykułu wstępnego. Proces Staszysa — to nie sprawa o charakterze prywatnym, lecz moment wybitnie polityczny w stosunkach polsko-litewskich.

Pod tym względem, trzeba przyznać, p. Cat. w „Słowie” zajął słuszne stanowisko, potępiając insynuację pod adresem p. Staszysa i wypowiadając następującą uwagę:

„Jeśli swego czasu z wileńskich kół antyklerykalnych padł zarzut co do nierzetelności finansowej klerykała p. Staszysa, to należy skonstatować, że zarzut ten dotychczas stwierdzony nie jest. A więc używanie go jako argumentu przez nas Polaków, przez nas — prasę polską w stosunku do b. prezesa b. Narodowego Komitetu litewskiego w Wilnie nie byłoby *fair play*”.

Nie można również odmówić słuszności poglądom p. Cata, że „od Staszysa, obywatela polskiego należy żądać takiej samej lojalności wobec państwa polskiego, jak od każdego innego naszego obywatela. Ale dziwnie tę tezę komplikuje *zwyczaj*, wprowa-

dzony zresztą przez chaotyczne zarządzenia traktatu Wersalskiego, który pozwala na niektórych obywateli własnych patrzeć jako na zakładników obcego państwa, pozwala ich karać, aby wymierzyć karę obcemu państwu“.

Natomiast nie wytrzymuje krytyki twierdzenie p. Cata, że „p. Konstanty Staszys, obywatel polski brał pieniądze od wrogiemu Polsce rządu kowieńskiego, a więc działał na szkodę naszego państwa“. Nie poruszamy tu kwestji, czy powyższe posądzenie p. Staszysa jest słuszne, czy nie. Ale czy otrzymywanie pieniędzy na oświatę i inne cele kulturalne litewskie nawet od rządu kowieńskiego, nie utrzymującego stosunków dyplomatycznych z rządem warszawskim, jest istotnie przestępstwem i zbrodnią stanu?. Czy przynosi to szkodę państwu polskiemu?

Gdyby rząd polski uważał, że oświata w języku litewskim jest niedopuszczalna ze względów politycznych, to oczywiście zdobywanie środków na nią zagranicą byłoby przestępstwem, ale pomoc finansowa dla organizacji i instytucji, istniejących i funkcjonujących legalnie, czyż może przynosić jako szkodę państwu? P. Cat utrzymuje, że szkolnictwo polskie w Kownie jest pozostawione własnym siłom i że prasa polska w Litwie, wychodząca bez pomocy z zewnątrz, jest odpowiednio nędzna. Przypuśćmy.. Wydaje się nam jednak, że rząd kowieński nie miałby nic przeciwko temu, aby na te cele napływały pieniądze z Warszawy. pod warunkiem, aby duch w nich panował lojalny względem państwa litewskiego.

Czy nie wszystko jedno, z jakiego źródła płyną pieniądze? Czy z tego kraju lub państwa, czy innego? Chodzić powinno tylko o to, aby otrzymywane fundusze były użyte na cel, nie będący w sprzeczności z interesem państwowym. Zresztą jeżeli p. Cat daje tytuł swemu artykułowi: „Czego nasz rząd winien się nauczyć od rządu kowieńskiego“ i najwyraźniej namawia go do udzielenia pomocy finansowej społeczeństwu polskiemu w państwie litewskim, to zdradza wyraźny brak konsekwencji. Bo jeżeli ktoś z Po-

laków litewskich będzie otrzymywał z Warszawy pieniądze na cele kulturalne polskie, to popełni to samo przestępstwo, o jakie p. Cat pomawia p. Staszysa. A czyżby „Słowo“ chciało, aby jaki wybitny przedstawiciel społeczeństwa polskiego w Kownie zasiadł na ławie oskarżonych?

W szeregach represyj, jakie zostały zastosowane względem Litwinów przez administrację wileńską, największą sensację wywołało rozwiązanie Litewskiego Towarzystwa Dobroczynności. Powodem tego zarządzenia, jak podaje „Kurjer Wileński“, było „stwierdzenie faktu, że działalność Towarzystwa pozostawała w sprzeczności z jego statutem i nosiła charakter polityczny, a nawet antypaństwowy“.

Zwraca uwagę, że tego rodzaju wydarzenia nie wywierają żadnego wrażenia na wileńskich posłów sejmowych. Nie słychać również, by marszałek Senatu Al. Prystor, urodzony wilnianin i biorący stałe udział we wszystkich uroczystościach wileńskich, wykazał jakieś zainteresowanie przeżyciami miejscowego społeczeństwa litewskiego. Trzeba stwierdzić, że zgon Józefa Piłsudskiego jest momentem przełomowym pod każdym względem.

Fantazja polityczna.

Miesiąc dzieli nas od chwili, gdy zaostrażające się wciąż stosunki niemiecko-polskie prawie nagle uległy dużemu odprężeniu. W hitlerowskich Niemczech przyznano szkolnictwu polskiemu prawo istnienia, a Hitler przyjął delegację zamieszkujących w narodowo-socjalistycznym państwie Polaków, przyczem rozmowa przeciągnęła się poza czas normalnych posłuchań... Któż ze szczerych przyjaciół pokojowego współżycia między narodami nie czytał tego bez zadowolenia?!..

Jeśli mogło dojść do tego z Niemcami, to dlaczegożby niemożliwym było takie lub przynajmniej jakieś podobne dojście do względnego ładu z Litwą? Zapewne analogja tu nie jest zupełna i są też znaczne różnice. Przedewszystkiem Niemcy i Polska mają u siebie przedstawicielstwa dyplomatyczne, Litwa zaś i Polska — nie. Jakkolwiek okoliczność ta stanowi b. wielką trudność, nie jest jednak przeszkodą absolutną, której żadną miarą obejść się nie da. Dobra wola chociażby tylko czasowego, prowizorycznego

Polemika.

Z niedalekiej przeszłości.

P. „Krajowiec“ w art. „Wracamy do demokracji“ w Nr. 8 „Przeglądu Wileńskiego“ z dn. 6.XI r. b., podkreślając demokratyczny charakter BNA („Białoruskaje Narodnaje Abjednannie“), w mylnem świetle przedstawia BCHD („Białoruskaja Chryścijanskaja Demokracija“), z której owe BNA właśnie wyłoniło się.

W artykule owym czytamy dosłownie:... „W białoruskim społeczeństwie... widzieliśmy doniedawna szukanie ratunku, bądź to w oparciu o komunizm, bądź o faszizm. Do pierwszej grupy należeli epigoni „Hramady“..., do drugiej: — dawna Chadecja białoruska, która w swym organie „Białoruskaja Krynica“ w pewnym okresie wyraźnie propagowała idee totalizmu, rasizmu i t. d....“ Z biegiem czasu nastąpiła jednak zmiana. „Dawne sympatje do faszizmu w jego

wydaniu niemieckim przekształciły się w wyraźną niechęć. Zmiana zaś nazwy BCHD na nową — „Białoruskaje Narodnaje Abjednannie“ — miała w osnowie swej właśnie zwrot ku demokratyzmowi“...

Otóż coś tu o BCHD nie w porządku. 1) Lat temu prawie 10 arcyb. R. Jałbrzykowski „wyklął“ i BCHD i „Biel. Krynicę“, między innymi, za rzekome sprzyjanie komunizmowi. 2) Rok temu władze polskie zawiesiły „Biel. Krynicę“, między innymi, także za rzekome tendencje komunistyczne. 3) Niektórzy Białorusini doniedawna, pocichu i otwarcie, pomawiali BCHD, a szczególnie „Biel. Krynicę“, właśnie ...o komunizm, nie widząc w niej narodowej, ściślej nacjonalistycznej ideologii, a za dużo znajdując tam właśnie demokratyzmu.

Tymczasem oto nowa rewelacja o ideowym charakterze BCHD. P. „Krajowiec“ staje na wręcz przeciwnym biegunie i twierdzi o BCHD to, czego dotychczas nikt nie twierdził, że BCHD była organizacją faszystowską, rasistowską, totalistyczną, hitlerowską.

Któraż ze stron ma rację? Ani jedna ani druga.

uporządkowania najpilniejszych stosunków wzajemnych między Litwą a Polską dałaby już niezawodny a praktyczny skutek.

Nie chodzi przecież o stosunki handlowe, o taryfy, o konwencje kolejowe i t. p., chodzi jedynie o to, by dziatwa i młodzież dorastająca tu i tam nie była skrzywdzona. By zużyła należycie czas, który w życiu człowieka nie zwykł się powtarzać, który tylko raz bywa mu dany i gdy zostanie zmarnowany, nie da się już niczem powetować!... Właściwie to kwestja natury wcale nie politycznej, lecz czysto pedagogiczna, to sprawa ojców i matek pokolenia dorastającego, a więc ich odpowiedzialność przed tymi, których wydali na świat i którym przeto powinni dać wykształcenie ogólne i specjalne, dla zabezpieczenia godnej przyszłości. Rosnąca wciąż walka o byt własnie podnosi tragizm tej powinności rodzicielskiej, od której nikt z rodziców nie ma prawa czuć się wolnym.

Trzeba więc Polsce i Litwie zdobyć się na wspólną inicjatywę. Niech posłowie Francji w Kownie i Warszawie zostaną uproszeni do tego, by zakomunikować nieoficjalnie rządowi Litwy i Polski, że Polska i Litwa od pewnej daty, nie oglądając się na nic, wykonywują względem swojej mniejszości litewskiej i polskiej program minimum niezbędnego, by dziatwa i młodzież mogły pobierać naukę w szkołach litewskich w Rzplitej Polsce i polskich w Republice Litewskiej. Niech raz wydane takie zarządzenie nie będzie, co pewien okres, uszczuplane lub ograniczane —, niech nikt nie wymawia, że się dało, ani grozić, że się odejmie, niech nie będzie ono traktowane jako kaucja lub środek wymuszenia czegoś na stronie przeciwnej. Możliwość uczenia się dla dzieci jest czemś w rodzaju prawa człowieka do oddychania, które dzięki Bogu dotychczas nie było jeszcze przez nikogo kwestjonowane, nie zna granic i linii demarkacyjnych, ani stało się wreszcie przedmiotem układów dyplomatycznych. Więc i wróg ma prawo oddychać.

Nikt nie żąda i nie spodziewa się, by narody poróżnione zapalały miłością do siebie. Nieraz się zdaje, że Polska zbyt uparcie trzyma się alternatywy: albo wszystko, albo nic. Na dziś wystarczyłby najzupełniej jakiś program minimalny. Niechby zacząć od załatwienia na sposób powyższy zagadnienia szkolnego. Jeśli to jedno się udało, byłoby już wcale dużo. Od oświaty szkolnej trzeba zacząć.

Niech szaulisi i peowiacy robią dalej swoje,

Prawda *in medio*, pośrodku. 1) Leaderzy „Hramady” będąc całkiem posłusznym narzędziem w ręku swych opiekunów ze Wschodu, nietylko że sami nie pracowali nad białoruską narodową i demokratyczną ideologją, ale utrudniali i paraliżowali taką pracę innym organizacjom białoruskim. A taką organizacją białoruską była przedewszystkiem właśnie BCHD.

2) Po likwidacji „Hramady” część jej liderów zorientowała się na t. zw. „sanację” polską, w dalszym ciągu, już w innym obozie, wysługując się „silnym tego świata”, całkiem nie pracowała nad białoruską ideologją narodową i demokratyczną i wybitnie utrudniała taką pracę innym. I tu tym „innym” była przedewszystkiem BCHD.

A więc BCHD nie była ani bardzo na prawo, ani bardzo na lewo, a tylko w szczerze białoruskim narodowym i demokratycznym środku, taki swój charakter podkreślając stale i wyraźnie.

A jakże bliżej dałoby się określić owe „średkowe” ideowe oblicze BCHD? Oto odpowiedź: Białoruska Demokracja Chrześcijańska ma oblicze właś-

niech „Musy Vilnius” i „Dziennik Wileński” wypisują, co im się podoba, niech awanturzą się młode głowy i dewotki...

Rządy winny mieć mocne nerwy i nie słuchać szowinistów, prowokatorów i wszelkich mąciwodów. Państwo nowożytne nie umie istnieć bez całego aparatu wywiadowczego. To prawda. Jednak niemniej jest prawdą, że natchnienie czerpać mu należy skądinąd.

Gouverner, c'est prévoir.

A. S.

Odwiedziny Nuncjusza

Uprawnienia nuncjuszów apostolskich przebyły całą ewolucję. Jeszcze w w. XVIII, m. in. też w przedrozbiorowej Rzeczpospolitej Polskiej, nuncjusze sprawowali również władzę sędziowską i niemało spraw i zatargów kościelnych rozstrzygali z tego tytułu na miejscu. Rosły jednak wciąż: z jednej strony władza biskupów, z drugiej tendencje centralistyczne kongregacji rzymskich, czego następstwem jest stan rzeczy obecny, gdy nuncjusze są już tylko reprezentantami Stolicy Apostolskiej, no i instancją, która pośredniczy z Rzymem, gdy się kto o to do niej zwróci. Czy uznałby definicję powyższą fachowy kanonista za swoją, tego nie wiemy, sądzymy jednak że też nie wytknąłby jej większej nieścisłości, bo sedno rzeczy ujmuje ona mniej więcej prawidłowo, a to najzupełniej wystarczy dla sprawy, którą niżej chcemy poruszyć.

Pomni na wyroki sądowe nuncjatury w wiekach dawnych, Litwini, Białorusini i Ukraińcy skorzy byli już od przyjazdu pierwszego wysłannika Ojca św. do Warszawy (jakim był ówczesny wizytator apostolski monsignore Ratti, a dzisiejszy pap. Pius XI.) oczekiwać doraźnych skutków swych interwencji w nuncjaturze tak ustnych, jak piśmiennych, w postaci składanych na ręce nuncjusza memorjałów. Zapewne jedne i drugie zostawiły pewien ślad w archiwach nuncjatury warszawskiej, o ile materiały odnośne nie były przekazane do sekretarjatu stanu, czyli papieskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Oczywiście, mniejszościom narodowym chodziło zawsze o coś więcej i dlatego nie obeszło się tu bez żalów i pretensyj,

nie takie, jakie określa sama już jej nazwa. Więc białoruskość, chrześcijaństwo w świetle społecznym Encyklik Papieskich, demokratyzm — oto zasadnicze podstawy teorii i jej praktyki. Wogóle chrześcijańska demokracja o charakterze totalnym i rasistowskim jest *contradictio in adjecto*, jest sprzecznością samą w sobie. Tembardziej to się stosuje do CHD białoruskiej, która dzięki specyficznym białoruskim warunkom, jawnie hołdowała demokratyzmowi, narażając się zato ze strony, poniekąd właśnie faszystowskiej, rasistowskiej, totalistycznej — na nieprzyjemne dla siebie konflikty.

3). „Biełaruskaja Krynica” w pewnym okresie wyraźnie propagowała idee faszystwu etc. — pisze p. „Krajowiec.” Że o tem pisała, to możliwe, a że propagowała, to nie. Sedno rzeczy tutaj oto w czem. W przeciągu całego r. 1935 BCHD już usilnie pracowała nad sprawą swego odnowienia i na szpaltach „Pieł Krynicy” drukowała sporo artykułów o treści rozmaitej, między którymi mogły być artykuły, nie kwadrujące z teorią chrześcijańskiej demokracji, ale

które nieraz przesączały się do prasy litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej. A ileż trudności miał każdorazowy nuncjusz, zmuszony lawirować nieustannie między rządem, episkopatem i mniejszościowymi postulantami, których stanowiska nietylko nie były uzgodnione, lecz wręcz sprzeczne?!

Pierwszy z postów dworu papieskiego monsignore Ratti zostawił po sobie pamięć zręcznego dyplomaty, który nie chciał żadnej mniejszości zrazić do siebie, acz był b. ostrożny w swych do niej wypowiedziach. Tablica pamiątkowa, która ma niezadługo być wmurowana do fasady b. pałacu biskupiego w Wilnie przy ul. Zamkowej 8, jako miejsca dwukrotnego zamieszkiwania jego podczas pobytu w Wilnie, będzie jednocześnie pamiątką parokrotnej podróży wizytatora na Litwę, która wchodziła też w zasięg jego dyplomatycznych kompetencji. (Przyszły papież odwiedził wówczas gimnazjum litewskie w Wilnie, a w drodze do Kowna miał sobie za towarzysza podróżny ks. szambelana dr. A. Wiskonta).

Zgoła innym był jego następca monsignore Lauri, którego słowa, o ile były skierowane do mniejszości narodowych, brzmiały zupełnie jak echo czysto urzędniczego, więc symplicywanego poglądu władz centralnych na tak zawiłe sprawy narodowościowe u nas. Przyjmował on delegatów grzecznie, może nawet czasem z uśmiechem, jednak rady jego nie odbiegały zbyt daleko od znanych zaleceń z czasów Fryderyka Wielkiego: *Steuer zahlen, Soldat werden und Maul halten*. Duże zresztą nań wpływy miała, jak nas zapewniał ówczesny wysoki dygnitarz ministerstwa spraw wewnętrznych, endecja warszawska, zwłaszcza pobożne a sędziwe matrony z arystokracji polskiej, które były wymowną a dobrze nastawioną tubą.

Trzeci z kolei nuncjusz w Polsce — monsignore Marmaggi — był przez poprzedni swój pobyt na takimże stanowisku w Czechosłowacji i Jugosławji, krajach słowiańskich, lepiej przygotowany od poprzednika do objęcia nuncjatury polskiej i pracował na niej z pożytkiem. Dobry był to człowiek, brakowało mu czasem, jak się zdaje, większej odwagi, co się ujawniło, ilekroć miał do załatwienia drażliwą kwestję, np. podczas pacyfikacji w Galicji Wschodniej... Zresztą miał on najlepsze chęci względem mniejszości narodowych i zapewne zrobiłby dla nich nierównie więcej w warunkach do działania bardziej dogodnych.

Po tej krótkiej retrospektywnej wycieczce w świeżą jeszcze przeszłość, przejdźmy do niedawnego paż-

dziernikowego pobytu nuncjusza apostolskiego Filipa Cortesiego w Wilnie i Wileńszczyźnie oraz na obu jej pograniczach. Opuszczamy to wszystko, co nie ma żadnego stosunku z kwestją mniejszościową lub jest znane z prasy, by tembardziej zatrzymać uwagę czytelnika na rzeczach, o których prasa nic nie pisała, a fama powstać nie mogła.

Wątpimy czy kto dobrze wie, co było właściwą przyczyną sprawczą tygodniowego pobytu wśród nas nuncjusza warszawskiego, a nad domysłami takimi jak „Vilniaus Rytojus”, że to sprawa białoruska spowodowała przyjazd msgr. Cortesiego do Wilna, należy tylko wzruszyć ramionami. Napewno nie było to wyłączną przyczyną przyjazdu i pobytu w Wilnie posła papieskiego. Jednak nie da się zaprzeczyć, że w sztabie endecji brano pod pilną uwagę wszelkie możliwe przyczyny, nie wykluczając i powyższej. W przededniu przyjazdu i w sam dzień odjazdu endecja wileńska drukowała sążniste artykuły, fałszywie alarmujące ogół o jakimś gotującym się u nas białoruskim zamachu na polski stan posiadania. Wskazywano z nazwiska generała o.o. marjanów Cikotę i innych księży Białorusinów, imputując im złośliwie zdradę stanu, agitację komunistyczną i temu podobne niedorzeczności. *Copyright by Borodicz.*

Rzeczą wielce znamioną było ujawnianie przez nuncjusza stale, jak żywo się interesuje akcją unjonistyczną. Wysoki gość korzystał dosłownie z każdej sposobności, by to publicznie zaznaczyć. Dlatego trudno oprzeć się wrażeniu, że odrazu przewidziany w marszrucie wyjazd nuncjusza do ośrodka akcji prałata Lubiańca, na rzecz zjednania prawosławnych Białorusinów do czystego latynizmu i stuprocentowej polskości, wyglądał na rodzaj przeciwwagi, próbującej nieco ostudzić orientalne zainteresowania i sympatje msgr. Cortesiego. Czy to się jednak udało? Czas pokaże.

U św. Mikołaja, w kościółku, gdzie ghetto litewskie (i białoruskie) może zaspokoić swe religijne potrzeby w języku ojczystym, poszło, mówiąc eufemicznie, wszystko dość składnie i ładnie. Nuncjusz niewątpliwie ujął Litwinów (i Białorusinów), nazywając kraj, po którym teraz oto jeździ, „waszym”; też napewno nie myślał o jakiejś wyłączności. Przyjemnie jednak było to słyszeć. Zgoła widać nieorientujący się w sytuacji sekretarz i tłumacz nuncjusza o mało co nie rozpoczął przekładu tej mowy na polski, w porę jednak zapobieżono dużemu nietaktowi młodego sa-

o było — podkreślam — w porządku tylko dyskusyjnym.

4) Istnieje aż kilka wydań — coś 5—6 — programów BCHD z rozmaitych okresów jej istnienia i działalności. A te w rozważanej przez nas sprawie są oczywiście najbardziej miarodajne. Otóż uważnie przejrzałem je i nie napotkałem w nich literalnie nic, co by potwierdzało poglądy na BCHD p. „Krajowca”. Przeciwnie. spotykam tam z całą konsekwencją przeprowadzone właśnie idee demokratyzmu.

Wreszcie na początku r. 1936 z BCHD powstało BNA. Czy powstało ono jak *Deus ex machina*? Nie. Powstanie to było naturalne, logiczne, ewolucyjne. Na czemże polega zmiana, odnowienie? Na *złaicyzowaniu* przedewszystkiem.

Można więc dysputować o stopniu i charakterze demokratyzmu BCHD i BNA, ale nigdy nie można przypisywać BCHD tego, co jej przypisał p. „Krajowiec.”

Tutejszy

Osobliwa taktyka.

W poprzednim numerze „Przegl. Wileńskiego” zamieszczona była moja notatka p. t. „Wracamy do demokracji”, w której z uznaniem zaznaczyłem, iż przekształcona dziś w „Białoruską Narodną Abjednańnie”, była Chadecja Białoruska opowiedziała się w uchwałach swej Rady wyraźnie za demokratyzmem, odżegnywując się zarówno od komunizmu, jak i faszyzmu. Zaznaczyłem tam mimochodem, iż w pewnym okresie Chadecja ujawniła jednak tendencję właśnie do faszyzmu, od którego dziś się tak stanowczo odgradza. Zaznaczenie to wywołało ostrą reakcję na łamach pisma „Chrycijańska Dumka”. Uczyniła mi ona zarzut fałszowania historii ruchu białoruskiego i uroczyście oświadczyła, iż Chadecja nigdy tendencji faszystowskich nie miała.

Najwidoczniej zaszło tu to samo zjawisko, które nieraz widzimy u dzieci i kobiet, odżegnywujących się od wypowiedzianych poprzednio słów. Bo — aczkolwiek wierzymy, iż ogół członków Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji zawsze hołdował hasłom

lezjanina (Prymas ma zawsze w nuncjaturze kogoś ze swoich współbraci zakonnych). Nikt też nie śmie brać za złe, że nuncjusz u św. Mikołaja zachęcał, jako sługa Chrystusowy, Litwinów do miłowania Polaków, przykrem jednak dla Litwinów było i być musiało, że z ust nuncjusza nie padły do Polaków słowa zachęty, by kochali również Litwinów. Była ku temu dobra sposobność, gdy msgr. Cortesi przemawiał w Ostrejbramie do Polaków... Wyraźniej tej jednostronności nie mogło całkowicie naprawić nawet wyrażone za podszeptem naszego Arcypasterza przez Nuncjusza, przed opuszczeniem św. Mikołaja, litewskie pozdrowienie: *Garbe J. Kr.!*

Ponadto nuncjusz odwiedził farę w Nowych Trokach, zamek Kiejstuta na wyspie i linię demarkacyjną polsko-litewską, skąd melancholijnie przyglądał się biegnąc mu z Wilna traktowi kowieńskiemu.

Zasłużony tłumacz Pisma św. na język białoruski ks. mag. Wincenty Godlewski doręczył podczas pobytu nuncjusza w Wilnie krótki memoriał z prośbą o umożliwienie wydania drukiem białoruskiego przekładu Pisma św. Petycja ta nie spotkała się z odmową.

Przyjazd i pobyt msgr. Cortesiego w Wilnie stanowią razem nie więcej, niż uroczyste inkrutowiny posła papieskiego na nasz teren—dopiero bliższy kontakt—przy pracy i rozwiązywaniu zagadnień życiowych dla mniejszości narodowych—stanowiąc będzie o tem, czy zaistnieje tak pożądana i potrzebna dla obu stron atmosfera zaufania wzajemnego. Daj to Boże!

P. Kantryba.

O duszy białoruskiej Syrokomli.

(*Wrażenia z obchodu 75-lecia śmierci poety*).

W roku 1923—na obchodzie jubileuszowym Syrokomli—wygłosił prof. M. Zdziechowski nader ciekawy odczyt, który później został ogłoszony drukiem w broszurze p. t.: „Władysław Syrokomla. Pierwiastek litewsko-białoruski w twórczości polskiej”. (Wilno, 1924).

Dla wielu praca ta była wprost rewelacyjną. Tak już społeczeństwo polskie przywykło identyfikować polskość na ziemiach białorusko-litewskich z polskością rdzennej Polski, że stwierdzenie głębokiej różnicy psychologicznej pomiędzy jedną a drugą

demokratycznym i właśnie w imię ich przystępował do stronnictwa, to stwierdzić raz jeszcze musimy, iż tendencje faszystowskie ujawniał najwyraźniej organ Chadeceji „*Bielaruskaja Krynica*“ oraz jego redaktor ideowy nie tak dawno, by mógł o tem autor zapomnieć: *było to tylko w roku 1934.*

Właśnie w numerze noworocznym „*B. Krynicy*” r. 1394 w redakcyjnym artykule wstępnym p. t. „*Staroże umiraje—nowaje rodzicca*” czytaliśmy następujące oświadczenie:

„Dziś coraz wyraźniej zarysowuje się na powierzchni życia społecznego idea korporatyizmu, opartej na wiecznych podstawach nauki chrześcijańskiej. Istotą jego jest to, iż jednostki pracujące w jednej dziedzinie, czy lepiej różne stany i klasy tworzą związki zawodowe, które się łączą we wspólnym związku, celem obrony swych praw duchowych i materialnych, celem pracy zorganizowanej i celem regulowania i podziału owoców pracy. Na takich podstawach buduje się dziś sławna Irlandja, Austrja, a częściowo i inne

przyjęto jako... nieprzyjemną rewelację! To też „narodowo myśląca” publiczność ze zgorznięciem wysłuchała głębokich i słusznych wywodów prof. Zdziechowskiego, który, mówiąc o pierwiastku białoruskim w duszy „*Lirnika Wioskowego*”, wysunął nader charakterystyczną tezę: rdzenni Polacy nie mogą Syrokomli zrozumieć ani odczuć, i tam, gdzie twórczość poety nie przemawia już do serc ludzkich tak, jak u nas, zaczyna się właściwa Polska.

Ogół prasy polskiej nie uważał za stosowne zreferować tych słusznych wywodów prelegenta, którego tezy znalazły oddźwięk jedynie w prasie krajowej i wśród białoruskich krytyków literackich. Z obszernym jakby koreferatem wystąpił wtedy na łamach czasopisma białoruskiego „*Zmahańnie*” (Nr. 21—r. 1923) oraz w „*Przeł. Wil.*” (Nr. Nr. 4—6 r. 1924) Sulima, pogłębiając wywody prof. Zdziechowskiego i stawiając kropki nad i tam, gdzie polski badacz—może licząc się z chorobliwą atmosferą nacjonalistyczną społeczeństwa wileńskiego—nie wyciągnął ostatecznych wniosków, nie wypowiedział całej prawdy o obliczu narodowym Syrokomli.

Zabrałem w tej sprawie podówczas głos i ja na łamach gościnnego „*Przeł. Wil.*” Nr. (18—r. 1924), powtórzony po białorusku również w Nr. 1 z r. 1925 czasopisma „*Studenckaja Dumka*”. Podając szereg faktów, które może uszły uwagi prof. Zdziechowskiego, stwierdziłem, iż wpływ białoruskie przenikały nie tylko do sfery podświadomej w duszy Syrokomli, lecz i poważnie oddziaływały na jego świadomość, decydując o ustosunkowaniu się poety do idei białoruskiego odrodzenia narodowego.

Właśnie Syrokomla nie tylko witał gorąco bratnią duszę—poetę białoruskiego W. Dunin-Marcinkiewicza, nie tylko radził mu, by nie zarzucał swej twórczości białoruskiej dla twórczości polskiej, lecz widział w pracy Dunin-Marcinkiewicza nad odrodzeniem poezji białoruskiej—posłannictwo przez Boga mu wyznaczone. („*Gazeta Warszawska* z dn. 17 grudnia r. 1856 oraz Nr. 16 z roku 1856 oraz Nr. 16 z r. 1857). Syrokomla wierzył w odrodzenie poezji białoruskiej i sam do tego przyczynić się pragnął, pisząc wiersze po białorusku (dotąd opublikowany został, niestety, tylko jeden jego wiersz białoruski „*Dobryja wieści*” z r. 1848; reszta podobno leży gdzieś w ukryciu...).

Od czasu napisania powyższego artykułu minęło trzynaście lat. I oto w dniu 26 listopada r. b., w 75 rocznicę zgonu Syrokomli sędziwy luminarz nauki pol.

kraje. *Do korporatyizmu chrześcijańskiego kierujemy się i my* *).

W pół roku później—dn. 15 czerwca 1934 r.—również w redakcyjnym artykule wstępnym p. t. „*Parlamentaryzm i socjalizm umierają—rodzi się korporatyizm*”—czołowy organ Chadeceji pogłębił i sprezytował swoje stanowisko do stosunku do swojego ustroju przyszłej wolnej i niepodległej Białorusi.

Zaznaczywszy, iż *istotą istroju parlamentarnego stanowi to, iż w sprawach społeczno-politycznych włodarzem jest demokracja, cały naród*”, „*Biel. Krynica*” z triumfem wyszczególnia państwa, w których upadł już parlamentaryzm: Włochy, Niemcy, Austrię, Łotwę, Bułgarię i in.—i zachwala system korporacyjny. „*Parlamentaryzm, kapitalizm, a z nimi razem i socjalizm umierają, a na ich miejsce powstaje nowy społeczny społeczno-polityczny ruch ideowy—korporatyzm. Nie inna droga, jak droga korporatyizmu, przytem na podstawach nauki chrześcijańskiej i etyki chrześ-*

*) Podkreślenie nasze.

skiej prof. Zdziechowski zabrał na publicznym zgromadzeniu w T-wie Przyjaciół Biblioteki im. Wróblewskich ponownie głos w tej sprawie, tak gorąco komentowanej w swoim czasie przez krytyków białoruskich. I tutaj już sam prelegent postawił kropki nad *i*, *dopowiedział to*, czego nie wyraził w poprzednim wystąpieniu, ujawnił całą prawdę o duszy białoruskiej Syrokomli.

W przepelnionej sali, która zgromadziła licznych przedstawicieli krajowego społeczeństwa, ze szlachetną odwagą i szczerością prawdziwego męża nauki mówił o tem, co w społeczeństwie, „zharmonizowanym” na gruncie coraz bardziej panoszącego się w Polsce nacjonalizmu, musiało dźwięczeć, jak rażący dysonans.

Przytoczył charakterystyczny list ś. p. Edwarda Woyniłłowicza, bliskiego mu ideowo i osobiście działacza konserwatywnego z Mińszczyzny: autor tego listu, ujawniający głęboki sentyment do białoruskości i do Białorusi, której imię dziś tak skrętnie jest wymazywane, gorąco witał tezy prof. Zdziechowskiego, zamieszczone we wspomnianej broszurze o Syrokomli.

Nie obwijał prof. Zdziechowski prawdy w watę obłudnego „prowincjonalizmu”: mówił wyraźnie, iż „Lirnik wioskowy” był nieodrodnym synem *Białorusi*, z której przeszłości związała go ponadto praca w archiwach, gdzie akty białoruskie, do końca w. XVII przeważające, musiały mu dużo powiedzieć. Mówił o tem, jak przenikała do duszy Syrokomli piosnka białoruska, jak wchłaniał poeta cały ten osobliwy czar, jaki płynie z ziemi białoruskiej i rodzi dziwną rzewność w sercach prawdziwych jej synów. Odczytał urywek z białoruskiego wiersza, w którym Syrokomla niesie ludowi tutejszemu w jego mowie ojczystej „dobre wieści” z Zachodu o wyzwoleniu tam chłopca z odwiecznej niewoli społecznej (1848 rok) i wzywa do wspólnej pracy chłopca z panem w celu wyzwolenia kraju z niewoli politycznej.

Stwierdzając bezsprzeczne zasługi Syrokomli dla kultury polskiej, do której wnosił wszystkie wartości duszy białoruskiej, zajął prelegent wyraźne stanowisko w sprawie współżycia narodów kraju naszego, pokrywające się ze stanowiskiem Syrokomli: nie ucisk i gwałt, lecz poszanowanie i miłość w stosunku do bratniego narodu białoruskiego może rozwiązać problem polsko-białoruski z największą korzyścią zarówno dla obu stron, jak i dla kraju.

Słuchając wywodów prelegenta, wypowiedzianych z głębokim przeświadczeniem o ich słuszności, mimowoli przypominały się słowa genialnego poety rosyjskiego, który wierzył w swoją nieśmiertelność dla

tego, że „w swojej żestokij wiek” głosił hasła wolności do upośledzonych...

Następna prelekcja p. Turkowskiego, który, podnosząc zasługi niespożyte Syrokomli dla polskości, starał się na zasadzie jakichś wątpliwych majaczyń przedśmiertnych poety dowieść, iż „wszystkie ziemie polskie były mu równo drogie”, — wydała się czemś obcym, sztucznym, niejako urzędowym. Lecz i ona nie zdołała zatrzeć wrażenia, jakie wywarło przemówienie prof. Zdziechowskiego.

Ant. Nowina.

Wystąpienia p. W. Charkiewicza w „Słowie” na temat obrządku wschodniego spotkały się niejednokrotnie z należytą odprawą w poważnym czasopiśmie „Oriens”. Nie poskromiło to jednak jego zapędów.

W jednym z ostatnich numerów „Słowa” p. Charkiewicz zamieścił długi wywód o akcji neo-unijnej, do którego materiału zaczerpnął z relacji ks. Donata Nowickiego, proboszcza unickiego w Torokańcach pow. kobryńskiego.

O wystąpieniu ks. D. Nowickiego na tegorocznej konferencji unijnej w Pińsku zamieściliśmy wzmiankę nieprzychylną w sprawozdaniu z tej konferencji. Obecnie znalazła ona oddźwięk w artykule p. Charkiewicza, w którym, poza płytkimi, jak zwykle rozważaniami na temat obrządku wschodniego, autor wystosował pod adresem „Przeglądu Wileńskiego” kilka zjadliwych uwag, na które możemy tylko wzruszyć pogardliwie ramionami.

Chyba, poza Wilnem, żaden Syndykat Dziennikarzy nie posiada podobnie stronniczego prezesa.

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze.

Otrzymałem miły list Pański, w którym Pan łaskawie, między innymi, pisze: „Proszę o aktualny feljeton do następnego „Przeglądu”, tylko na miłość Boską — niech Pan się strzeże i nie kłapnie czegoś nieodpowiedniego lub źle widzianego... Czuję, że numer będzie skonfiskowany...”

Ależ, Panie Redaktorze, pocóż ja mam wysilać się na pisanie najostrożniej w świecie, kiedy sam Pan czuje zgóry, że wszystko jedno — numer i tak będzie stłamszony przez konfiskatę. A to, że po pewnym czasie powiedzą nam sądy, iż zajęcie zostaje uchylone z powodu braku cech przestępstwa — mała pociecha i niewielka satysfakcja. Może nawet tego, kto zarządzi konfiskatę, nie będzie już w Wilnie i pozbawi się Pan możliwości przy spotkaniu z nim powiedzieć mu wyrazem oczu: — A widzi pan?...

A może autor zapomniał, co w organie jego stronnictwa było zamieszczane zaledwie przed trzema laty? My — nie zapomnieliśmy! Zreszta podmiotowo uzasadnionej a szczerzej zmiany poglądów żaden polityk czynny wstydzić się nie potrzebuje. *Mutare consilium sapientis est.*

Zamieszczona powyżej notatka „Tutejszego” ujawnia tylko jego obrotność, lecz absolutnie sprawy nie zmienia. „Tutejszy” milczy o tem, co „B. Krynica” pisała w r. 1934 i stwierdza, iż w latach następnych, od 1935 poczynając, haseł faszystowskich organ „B. Ch. D.” nie propagował. Słusznie. Lecz czy nie dlatego od roku 1935 zaczyna się dyskusja programowa na łamach „B. Krynicy”, że ogół członków stronnictwa nie mógł się zgodzić z kierownikiem jego organu z roku 1934? Na to odpowiedzi „Tutejszy” nie daje. A — mówiąc jego słowami — wszczęcie dyskusji programowej, chyba miało jakieś podstawy ob-

jańskiej, pozostaje, jak nam się zdaje, i dla odrodzonej, wyzwolonej i zjednoczonej Białorusi” *).

Jeśli dodać do tego, iż w artykułach, publikowanych w tymże roku, „Bieł. Krynica” drukowała w najmniej zdecydowanej formie zachwyty swoje dla rasizmu, to oblicze ideowe kierowników Chadejki w roku 1934 z całą stanowczością określić możemy jako *profaszystowskie*. Jeśli więc dziś wódz ideowy stronnictwa zmienił swoje stanowisko, tem goręcej należy powitać tę ewolucję. Nie rozumiemy tylko ze strony tego polityka chęci *wymazania ze swej przeszłości faktu błędzenia po ideologicznym bezdrożu* — i to wymazania drogą *gołosłownego zaprzeczania najoczywistszej prawdy, której dowód powyższy przeprowadziliśmy*, korzystając wyłącznie z *enuncjacji oficjalnego organu Chadejki białoruskiej*.

*) Podkreślenie nasze.

Wolę więc zrezygnować. Mogę za to, co najwyżej, udzielić uprzejmie Panu Redaktorowi — dla uniknięcia kary sądowej — garści wskazówek i porad prawnych.

Nie należy otóż w piśmie popełniać zbrodni stanu — żadnych zamachów na byt, całość i ustrój państwa. Nie wskazane jest dopuszczać się przestępstw przeciw interesom zewnętrznym państwa i stosunkom międzynarodowym, ani przeciwko porządkowi publicznemu. Nie wolno znieważać władz i urzędów. Nie należy bluźnić. Wystrzegać [się] trzeba przed aprobatą fałszerstw pieniędzy i dokumentów. Ważne, jest aby pismo nie podlegało czytelników do — bigamji, nierządu, zgwałcenia, kazirodztwa, pederastji interesownej, pornografji, sutenerstwa, handlu żywym towarem, spędzania płodu, zakatrupienia kogoś, poharatania mu ciała, złodziejstwa, paserstwa, oszustwa, szalbierstwa, szantażu, przekupstwa, szpiegostwa i lichwy,

W wianuszku tym brak jeszcze jednego kwiatuszka, na który należy zwrócić osobliwą uwagę. Trzeba się mieć pilnie na baczności, aby nie wpaść w paszczę art. 170 K. K. Artykuł ten, jak krokodyl, ma zdolność otwierania w razie potrzeby swej buzi też na szerokość 170 stopni. Wszystko połknie. W ustawie brzmi on bardzo skromnie, zakazuje bowiem tylko „publicznie rozpowszechniać fałszywe wiadomości, mogące wywołać niepokój publiczny”. Wykładnia Sądu Najwyższego ogranicza go jeszcze więcej, a mianowicie — „fałszywa wiadomość” musi być świadomie, umyślnie fałszywą, t. j. wręcz kłamliwą, i z drugiej strony — sprawca musi zdawać sobie sprawę, że ta kłamliwa informacja może wywołać niepokój publiczny i Czynnik subiektywny w obydwóch wypadkach jest nieodzowny. O ile jednak sądy zwięzają paszczę najgroźniejszego artykułu prasowego do właściwych rozmiarów, o tyle znów administracja rozszerza ją niepomiernie. Cóż na to robić? Musi być pewien dystans między poglądami sędziego i urzędnika starostwa.

Wiadomo więc, o czym pisać nie należy. Natomiast wolno poruszać wszelkie inne aktualja. Zaleca się opisywać ghetto w uniwersytecie, w kinie, w teatrze, w restauracjach i w kawiarniach, w „dla mężczyzn” i „dla kobiet”, w autobusach, na postojach dorożek, na rynkach, w domach, których (wedle Makuszyńskiego) niesposób nazywać prywatnymi i t. d. Nie od rzeczy będzie wspomnieć o pikietach przy sklepach na ulicy, ale ten temat należy poruszać dobrotliwie i ostrożnie... Zawsze strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Dalej jest bardzo wskazanem podnieść genialną ideę wzniesienia pomnika Adama Mickiewicza na Piekielku, czy gdzieś w pobliżu. Myśl wspaniała i mająca jeszcze tę dobrą stronę, że nikt już twórcom tej idei nie zrobi awantury, albowiem Władysław Mickiewicz zmarł a pozostały przy życiu syn poety Józef Rafał — nie chce się mieszać do spraw publicznych. Nie można pominąć milczeniem chwalebnych zabiegów naszych i obcych urbanistów, dążących do regulacji Placu Katedralnego

jęktywne i nie wynikało „tak sobie” — jak Deus ex machina”...

„Tutejszy” nie może widocznie darować popularności „Hramady”, która powstała może właśnie dzięki temu, iż Chadecja Białoruska, kierująca się — jak sam stwierdza — Encyklikami Papieskimi, nie mogła ogarnąć całej ludności białoruskiej, w większości swej *prawosławnej*.

Ale nie o „Hramadę” chcę kruszyć z moim adwersarzem kopję, aczkolwiek jego ocena zarówno „Hramady”, jak i tak zwanej „sanacji” jest czysto subiektywna i bałamutna. Chodzi mi natomiast o to, iż uczynił on z moimi twierdzeniami to, co po rosyjsku nazywa się „pieredierżka”. Mówiłem bowiem w poprzednim artykule nie o „Hramadzie”, a o „epigonach Hramady”, do których należało ugrupowanie, znane pod nazwą „Zmahannie” i, zdaje się, z „sanacją” nic wspólnego nie mające. O tej to grupie „Tutejszy” coś

w stylu Piazza di Marco, zwłaszcza że pałace dożów już tam stoją — pałac Arcybiskupa i Województwa. Ach, ileż jest kwestyj, proszących się pod pióro, ile tematów do panegiryków na cześć osób i instytucyj, ileż powodów do wielbienia mądrości krajowej naszej administracji, tylko trzeba to robić z sercem wczbranem, bez cienia żółci i sarkazmu!

A czy ja potrafię to uczynić? Obawiam się, że stan mego zdrowia nie pozwoli mi na to. Więc urywam swoje gędzenie.

Racz przyjąć atc.

Bolesław Szyszkowski.

Jaktorów

Złośliwy wymysł.

Nie bez zainteresowania i satysfakcji przeczytałem w Nr. 8, „Przeгляdu Wileńskiego” odcinek Archiwisty „Z mińskich wspomnień gubernatora P. Kurlowa”. Niech jednak będzie wolno mnie, jako mińszczance, która zbliżka patrzyłam na rządy guberniją mińską osobiście dobrze mi znanego gubernatora hr. Musina Puszkina, sprostować jeden szczegół w narracji gen. Kurlowa. Mianowicie nie jest prawdą, że podczas jednej manifestacji ulicznej w r. 1905 tłum porwał gub. Musina Puszkina i „wykorzystał czerwoną podszewkę płaszcz gubernatorskiego jako emblemat rewolucyjny...” Jest to wymysł złośliwy i nic więcej.

Rzecz miała się wręcz inaczej. Uspakajając raz zebrany na ulicy tłum uczniów i młodzieży, gub. Musin Puszkina przez czas pewien kroczył z nim razem, chcąc w ten sposób osłonić manifestujących przed ewentualnem natarciem żandarmów lub kozaków. Miał z tego powodu nawet przykrość, bo wezwany został do Petersburga, gdzie otrzymał wymówkę. Nie był on w swej taktyce całkiem osamotniony, bo w tymże akurat czasie gubernator grodzieński Błok, jak słyszałam od męża, skoro tylko otrzymał ze stolicy depezę o nadaniu konstytucji, przyjechał zaraz do gimnazjum grodzieńskiego, by odczytać ją uczniom kl. VIII, a rychło potem pozwolił nawet na urządzenie „schodki” w swoim pałacu na Horodnicy. Miała więc Rosja wśród gubernatorów nie tylko Klingenbergów i von Walów.

Naogół trzeba powiedzieć, że gub. Musin Puszkina był b. lubiany w kołach ziemiaństwa mińskiego i nawzajem b. lubił ziemię mińską. Chcąc siebie związać z nią i nadal, nabył przed ustąpieniem z gubernatorstwa mińskiego majątek Dobra Mysz

nazbyt dyplomatycznie milczy, imputując mi rzekomą krytykę leaderów „Hramady”, którą się nie zajmowałem.

Ronieniem łez z powodu zarzutów komunizowania, najniesłuszniej robionych przez pewne czynniki polskie Chadecji białoruskiej, pragnie „Tutejszy” osłabić mój zarzut co do *propagowania* (świadomie ten wyraz podkreślam) *przez wodza Chadecji hasel fasystowskich w roku 1934*. Jest to oczywiście tylko „chwyt” polemiczny mego adwersarza, który bynajmniej nie zmienia istoty rzeczy. Nie zmienia jej i żale, iż wszystkie stronnictwa białoruskie o tem tylko zawsze myślały, by utrudniać pracę białoruską... Chadecji! Coś tu w tych żalach naprawdę nie w porządku...

Krajowiec.

Przyp. Red. Udzielając miejsca głosom dwóch przedstawicieli białoruskiej inteligencji, ukrywających się pod pseudonimami, łatwemi do odgadnięcia, uważamy poruszony przez nich temat za całkowicie wyczerpany i na powyższych artykułach polemikę w tej kwestji zamykamy.

koło Baranowicz, dokąd przyjeżdża czasem z Nicei jego staruszka żona i gdzie stale zamieszkuje pa-sierbica.

Wśród bliskich krewnych zmarły miał też ka-tolików.

—————
Mińszczanka.

Warszawska rewelacja o skarbach wileńskich.

Jeden ze znanych na gruncie wileńskim działa-czy białoruskich parę lat temu ze złośliwym humorem opowiadał, iż w celu zaznajomienia się z pewną oso-bistością ze świata naukowego, zamieszkującą podów-czas w Wilnie, musiał pojechać aż do.... Warszawy! Wygląda to na anegdotę, lecz tak było w rzeczywi-stości. Tak słabe są bowiem spoidła, wiążące społe-czeństwo polskie z młodą inteligencją białoruską i jej działalnością kulturalną. Tak mało wie ono o tem, czem ta żyje, co tworzy, co już zdobyła...

Opowieść powyższa przypomniała mi się podczas przeglądania sierpniowego zeszytu czasopisma arty-stycznego „Arkady” (Nr. 8 r. 1937), ściślej—nader inte-resującego obficie ilustrowanego artykułu konserwatora wileńskiego d-ra Piwockiego p. t. „Nieznana kolekcja drzeworytów ludowych”. Jest w nim mowa o kolekcji *wileńskiej*, o której wszakże dotąd wprawie miejscowej żadnej publikacji nie spotykaliśmy.

„W Wilnie,—píše d-r Piwocki,—przy ul. Ostrobramskiej, w murach pobazylijańskich, mieści się w kilku pokojach Muzeum Białoruskie. Na plan pierwszy wśród jego zbiorów wybija się dział sztuki ludowej, *kryjący prawdziwe skarby*. Obok godnych opublikowania rzeźb —szczególniejszą uwagę zwraca na siebie *wspaniała*, choć nieliczna kolekcja drzeworytów ludowych w licz-bie 12 egzemplarzy. Oprócz skromnej publikacji same-go Muzeum w języku białoruskim, jedyna krótka wzmian-ka o niej w literaturze przedmiotu znalazła się w mej pracy o „Drzeworycie ludowym w Polsce”. Drzewo-ryty te posiadały *dużą wartość artystyczną*, a poza tem uzupełniają poważnie ilość tego rodzaju dzieł z te-renu Wileńszczyzny, znanych dotąd jedynie z Teki Ła-zarskiego, *analiza ich wreszcie pozwala ustalić nowe da-ne o sposobach technicznych ludowych ksylografów*.”*)

Opisując w dalszym ciągu artykułu poszczególne drzeworyty ze zbiorów Muzeum Białoruskiego, z któ-rych osiem w „Arkadach” reprodukowano, autor pod-kreśla główne cechy drzeworytów ludowych wogóle, które tak wyraźnie ujawniły się w kolekcji wileńskiej. „Wileńska kolekcja drzeworytów w Muzeum Białorus-kim ilustruje znakomicie, jaki jest styl tych dzieł lu-dowych, ich naiwność płaskiego i graficznego ujęcia rzeczywistości, siłę wyrazu w niezamierzonych świadc-mie deformacjach, ich wreszcie wartości dekoracyjne kolorystyczne.”

Artykuł, jak widzimy, jest naprawdę dla Wilna —rewelacyjny. Zdaje się, że nie tylko przeciętny wilanin, ale i bardzo wielu „speców od sztuki” nic o tych skarbach, w Wilnie przechowywanych, nie wiedzia-ło dotąd i omawianych drzeworytów nie oglądało. By otworzyć im oczy na to, co mają pod bokiem a cze-go dotąd „nie zauważyli”, trzeba było pójść aż drogą przez Warszawę!....

A. Ł.

*) Podkreślenia wszędzie nasze. Autor.

Poświęcenie pomnika literata białoruskiego.

W d. 2 listopada na cmentarzu Rossa uroczys-cie otwarto i poświęcono pomnik nad grobem biało-ruskiego literata i poety ś. p. Antoniego Lewickiego, pisującego pod pseudonimem *Jadwihin Sz.*, a zmar-łego przed 15 laty.

Jadwihin Sz. urodził się w 1866 r. w Karpiłow-ce koło Radoszkowicz, wówczas pow. mińskiego. Oś-wiatę średnią zdobył Jadwihin Sz. w Mińsku, wyższą zaś—w Moskwie. Na niwie literackiej wystąpił Jadwihin Sz. najpierw w r. 1891, przekładając na język białoruski „Sygnały” Garszyna. Skądinąd znane są jednak utwory własne (dramat „Złodziej”) z okresu znacznie wcześniejszego. Zastąpił Jadwihin Sz. swe-mi krótkimi opowiadaniem, przeważnie humorys-tycznymi, które umieszczał jużto w odradzającej się prasie białoruskiej („Nasza Dola”, r. 1906), jużto ogłaszając je osobnymi tomikami: poemat „Dzied Zawala” (1909 r.), zbiory opowiadań w prozie: „Bia-rozka” (1912), „Wasilki” (1914). Osobny charakter mają jego „Listy z darohi” (Listy z podróży), w któ-rych opisał swą podróż na piechotę z Wilna do Miń-ska, a które umieszczał w szeregu numerów cza-so-pisma „Nasza Niwa” (1910 r.).

Oprócz literatury, czynnym był Jadwihin Sz. i na polu pracy społecznej, oraz kulturalno-oświato-wej. Był on m. in. też redaktorem pierwszego biało-ruskiego miesięcznika gospodarczego „Sacha”.

Ostatnie lata spędził Jadwihin Sz. w Wilnie, w odosobnieniu do rodziny, która pozostała ze wscho-dnim kordonem, w Sowietach.

Aktu otwarcia i poświęcenia pomnika nad gro-bem Jadwihina Sz., wzniesionego staraniem redakcyjnego zespołu „Szlachu Moładzi” z dobrowolnych skła-dek publicznych, dokonał ks. redaktor Adam Stan-kiewicz, który też wygłosił na miejscu okoliczności-owe przemówienie na temat „Siły woli ducha”. Bez-pośrednio po otwarciu pomnika Jadwihina Sz. i po zwiedzeniu grobowca drugiego poety białoruskiego pogrzebanego na Rossie, Kaz. Swajaka (ks. Konst. Stepowicza)—był to przecie dzień Zaduszek!—w sali przy ul. Zawalnej 1 odbyła się ku czci Jadwihina Sz. żałobna akademja, na której odczyt okoliczności-owy o życiu i twórczości zmarłego, opracowany na podstawie najnowszych źródeł, wygłosił mgr. Jan Szu-towicz, redaktor literacko-naukowego kwartalnika „Kałośsie”.

Udział publiczności w tej akademji, jak też na cmentarzu, mimo niesprzyjającej pogody, był nadz-wyczaj liczny.

W. B.

Bibliografja.

Dziewulski Wł. *Michał Hłuszniewicz* (1797 — 1862). 1937.

Profesorowi astronomji U.S.B. w Wilnie, dr. Wła-dysławowi Dziewulskiemu przypadł w udziale zaszczyt zorganizowania przy naszym uniwersytecie Obserwa-torium Astronomicznego. Szereg lat trwał pracowity a wytrwały montaż—tak naukowy, jak techniczny — tej doniosłej dla Wilna i ziem naszych placówki. Sła-wne tradycje dawnego Obserwatorium wileńskiego były tu zapewne ceną podniętą i nowym impulsem, jednak wcale nie ułatwiały wykonania tego wspania-łego przedsięwzięcia. Lunety bowiem i teleskopy z cza-sów Poczobuta, a nawet Jana Śniadeckiego, są dziś

już tylko zabytkiem muzealnym, a dawnie Obserwatorium wieżę zegarową o melancholijnie świecącej wieczorami i nocą tarczy. Cicho się porusza przy silniejszym wietrze osadzony na dachu wieży w kształcie chorągiewki samotny dziś, a zapatrzony w lunetę jezuita (nigdy, o ile wiem, niereprodukowany, acz rysunek tego starożytnego wietrznika, sądząc, jest niepośledniej wartości).

Dlatego dzisiejsze przy ul. Zakretowej Obserwatorium Astronomiczne jest już dziełem całkowicie nowym, a stworzonym przy ogromnym nakładzie pracy i iście profesorskiej pieczołowitości wybitnego polskiego astronoma, jakim jest Władysław Dziewulski. Liczne troski dnia dzisiejszego i ciągła, a zmierzająca ku obiecującej wciąż nowe odkrycia przyszłości praca naukowa, nie osłabiły w prof. Dziewulskim dużego też pietyzmu dla przeszłości nauki astronomii w Wilnie, w dawnym uniwersytecie naszym.

Wynikiem takiego właśnie ustosunkowania się do niej jest artykuł p. t. *Michał Hłuszniewicz (1707—1862)*, będący odbitką z kwartalnika „Fizyka i Chemia w Szkole” (w Warszawie?). Powtórzmy tu motywację przypomnienia tej postaci: „W roku bieżącym upłynęło 140 lat od daty urodzenia, a 75 lat od daty śmierci astronoma Michała Hłuszniewicza, b. Dyrektora Obserwatorium wileńskiego, długoletniego i cichego pracownika, który swemi wytrwałemi a dokładnemi obserwacjami zyskał duże uznanie u współczesnych, a dobrocią swą zjednał serca szerokich rzesz ubogiej ludności”.

Hłuszniewicz był rodem z Mińska, gdzie ukończył humanjora. Z kolei został magistrem filozofii uniwersytetu wileńskiego, gdzie był uczniem Jana Śniadecznego. Poświęcił się pracy naukowej w dziedzinie astronomii, naprzód jako siła pomocnicza przy dyrektorach Obserwatorium, wreszcie jako długoletni jego dyrektor. Obserwacje Hłuszniewicza drukowano w periodykach „Astronomische Nachrichten” i „Extrait des observations faites à Vilno”. Ponadto pracował on w zakresie meteorologii i geodezji, na terenie Kurlandji i b. W. Ks. Litewskiego.

Stynał też z dobroci, miłosierdzia i uczynności. Porał się nieraz z głodem i zapewne z wyzyskiem lichwiarzy. Czy połknął klucz od mieszkania w paroksyzmie głodu, jak mówi wiersz angielski o jednym poecie, nie wiemy, jednak śmierć jego w domu zajezdnym franciszkanów w Wilnie wymownie świadczy, że nie był zbyt daleki od tego. Spoczął na Świętośtefańskim cmentarzu.

Staraniem stowarzyszenia profesorów uniwersytetu naogół, a prof. Dziewulskiego w szczególności, niedawno wmurowano poniewierającą się na skasowanym cmentarzu jego płytę namagilną w południową ścianę zewnętrzną kościoła św. Stefana, nieopodal tablic profesora Gucewicza i Regnier.

Vita mortuorum in memoria vivorum posita est (Cycero).

Gardiner.

Kantak Kamil ks. *Franciszkanie Polscy*. Tom I. (1237—1517). Kraków 1937.

Dwa lata temu zdawaliśmy tu sprawę z pięknej i cennej dwutomowej pracy ks. Kantaka „Bernardyni Polscy”. Zwracając dziś uwagę miłośników przeszłości na wyjście z druku tomu pierwszego nowej publikacji tegoż autora p. t. „Franciszkanie Polscy”, nie będziemy już powtarzali, jak ten historyk Kościoła w Polsce przygotowywał się od lat wielu, by ująć i przedstawić całokształt dziejów zakonu franciszkańskiego na ziemiach b. Rzeczypospolitej, i to w ciągu szeregu wieków i w tyłu konwentach. Również nie-

ma potrzeby wyliczać teraz wszystkich przymiotów pióra ks. Kantaka, jak imponującego opanowania materiału, źródowości, swoiście jędrnego a zwięzłego stylu i in., o czem szerzej była tu mowa nieraz.

Niniejszy tom obejmuje średniowieczny okres w dziejach Franciszkanów Polskich, czyli lata 1237—1517, a wydany jest, jak świadczy dedykacja, ku uczczeniu ubiegłego siedemsetlecia ich działalności. W r. 1938 ukaże się tom II. tejże pracy, obejmujący lata 1517—1795, wreszcie w r. 1939 tom III., obejmujący w. XIX. oraz indeks do całości.

Omawiana tu praca ks. Kantaka jest tem cenniejsza, że kreślona przezeń historia Franciszkanów Konwentalnych ma bogate podszycie kulturalno-obyczajowe w mnóstwie skrętnie zgromadzonych a zawsze ciekawych szczegółów. Autor nie schlebia rodakom i uznaje w dość szerokich granicach fakt istnienia obok Polaków zakonników innej narodowości, jak Litwini, Rusini wszelkiej barwy, Niemcy i in. Franciszkanów przedstawia on takimi, jakimi byli istotnie. Równolegle zaś uznaje dzieje żeńskiej ich gałęzi—Klarysek. Na pochwałę szczególną franciszkanów przytoczyć należy, że w swoim duszpasterstwie na Litwie uwzględniali — w ówczesnej Wilnie języki litewski i niemiecki, w Kownie zaś litewski. Nic dziwnego, że ówczesne mniejszości miały pewne zaufanie do zakonu, co wyraziło się w tem, że ostatnia żona Jagiełły, nieraz przebywała, za regencji niechętnego jej arc. Zbigniewa Oleśnickiego, u Klarysek, szukając u stóp ołtarzy i w ciszy murów klasztornych pociechy.

Inny a ciekawy rozdział w dziejach franciszkanów polskich stanowi „Misja ruska”. W ww. XIII. i następnych Ruś i Litwa stanowiły teren misyjny, a i w Polsce poziom chrześcijaństwa był jeszcze bardzo niski. Jeden z zatrudnionych w tej ruskiej misji franciszkanów, błogosławiony Andrzej z rodu Jastrzębców, niesłusznie nazywany Wasylą, został mianowany pierwszym biskupem wileńskim. Drugim biskupem też był franciszkanin Jakób Plichta. Stąd widać, jak znaczny udział wzięli franciszkanie w chrystjanizacji naszego kraju.

Jeśli chodzi o Ruś, to mankamentem misji ruskiej był z jednej strony brak kaznodziejów i spowiedników ruskich (milczą o nich akta), acz Rusini licznie uczęszczali do łacińskich kościołów franciszkańskich, z drugiej zaś to, że neofitów przyjmowano wyłącznie na obrządek łaciński, i to chrzcząc ich ponownie, uważali bowiem franciszkanie z całym kościołem polskim (z wyjątkiem jednych bernardynów!) chrzest w obrządku greckim za nieważny. Tak właśnie powtórnie ochrzczono dworzanina Sonki Holszańskiej niejakiemu Kuźmę (oczywiście Białorusina), gdy będąc dyzunią, zapragnął przyłączyć się do Kościoła powszechnego.

Znowu dla dziejów Litwy ma szczególną wartość w pracy ks. Kantaka rozdział „Wikarjat Litewski”. Autor ustala tu fakt, że zanim chrześcijaństwo przyszło na Litwę z Polski, szły już z rozmaitych krajów na Litwę misje franciszkańskie, próbujące pozyskania Litwinów i Jadźwingów dla Kościoła. Miało żywić takie właśnie cele fundowane w r. 1257 biskupstwo w Łukowie (na Podlasiu, gdzie ongi mieszkali Jadźwingowie) z franciszkaninem Bartłojem z Pragi na czele, jednak Krzyżacy wciąż przeszkadzali mu w pracy*). Myślał o tem poważnie za Wi-

*) Czy nie tego Biskupa Bartłojem miał na myśli profs Abraham we Lwowie, pisząc, że był swego czasu *episcopo Jatvesoniae?*

tenesa i Gedymina arcybiskup ryski, szczególnie Fryderyk (1304—1341), sam franciszkanin. Franciszkanie Bertold i Henryk byli nawet sekretarzami u Gedymina. Pap. Jan XII. w r. 1317 zachęcał Gedymina osobnym pismem do przyjęcia chrześcijaństwa, a w czerwcu 1324 słał doń posłów: znanego już nam biskupa Bartłomieja i opata Bernarda, którzy via Ryga przybyli do Wilna w listopadzie tegoż roku, lecz też nic nie wskórali.

Podówczas konwent franciszkański w Wilnie miał już ojców, co władali językiem litewskim i niemieckim, Gedymin jednak starał się u generała zakonu o przysłanie misjonarzy, znających też języki polski, łotewski (remigolski) i ruski, co pięknie świadczy o językowej jego tolerancji. Franciszkanie uczyli się języka litewskiego. Księstwo litewskie należało wtedy do prowincji czeskiej, jaka dziełu uchrześcijanienia Litwy złożyła ofiarę z życia dwóch swoich franciszkanów, których w. książę kazał za niewczesną a niebaczną gorliwość pozbawić życia. Ten właśnie wypadek dał wątek późniejszym legendom o zamordowaniu 7, 14, 36... Franciszkanów w Wilnie. Według ks. Kantaka legendę tę należy uważać „za symboliczne ujęcie nieznanych w szczegółach prac i cierpień polskich Braci na Litwie”. Jednak te wysiłki nie poszły na marne. W Wilnie na Piaskach powstaje kościół N. M. Panny, atoli fundacja jego przez Gasztoldów wydaje się nieuzasadnioną. Dobrodziejów zdobywał on powoli. „Nie brak Żmudzinów. Polaków niema wcale”. Tak napisał ktoś na marginesie kalendarza franciszkanów wileńskich z w. XV. W r. 1370 już się zjawia tytuł: wikary Rusi, Litwy i Wołoszy.

Teraz garść wiadomości o kościółku św. Mikołaja. Pierwsza o nim wzmianka pochodzi z r. 1357, gdzie jest mowa o *cimeterium s. Nicolai*. Franciszkanie otrzymali go w darze od patrycjusza Hawnula z Kijan łącznie z wszystkimi przyległymi placami w ll. 1388—1392. Co ciekawsza, już wtedy św. Mikołaj był murowany, jaka budowa zachowała się bez większych zmian po dzień dzisiejszy. Arcybiskup gnieźnieński kardynał Fryderyk udzielił odpustu za nawiedzenie kościoła św. Mikołaja w dniu dedykacji. Było to w ll. 1493—1503.

Za Wilnem poszły fundacje w Oszmianie (Moniwidowska), Lidzie (Jagielly i Witolda), Kownie (Witoldowa), Drohiczynie nad Bugiem (też Witoldowa), Pińsku (nieznana)... Na podstawie dokumentów wygląda, że w r. 1522 istniał w Wilnie przy kościele św. Mikołaja drugi konwent franciszkański, posiadający własny budynek klasztorny. Dokonać tego miał wikary Litwy Jan Mały.

Jak zaznacza mimochodem sam ks. Kantak, klasztor franciszkański, jak zresztą wszystkie inne, były jednak czynnikiem dośrodkowym, więc asymilowały i unifikowały. Rozumiemy dlatego głos bólu patrioty litewskiego, a znanego jezuity o. Wijuka Kojalowicza, który miał śmiałość głośno wytknąć duże zaniedbanie ludu litewskiego, acz może w szczegółach brzmiał on niekiedy zbyt pesymistycznie.

Musimy być wdzięczni ks. Kantakowi, że pisząc dzieje franciszkanów polskich, nie żałuje miejsca na omawianie różnych szczegółów z przeszłości litewskobiałoruskiej. *Wat.*

Dogelis. P. kun. *Mano gyvenimo prisiminimai.* Kaunas 1936.

Zachęcony przypadkowo do napisania wspomnień ze swego życia, ks. kan. Paweł Dogelis (obecny kustosz bazyliki kowieńskiej) wydał pod koniec r. 1936 bezpretensjonalne, zwięzłe a ciekawe *cur-*

riculum vitae. Zapewne mógłby on więcej jeszcze powiedzieć o swych przeżyciach, i to rzeczy niewątpliwie zajmujących, jako że dosłownie nie z jednego pieca chleba jadał i był w życiu już nieraz pod wozem i na wozie. Jednak skromność, jaka tak charakteryzuje postać sekretarza Komitetu Litewskiego czasu wojny światowej w Wilnie, nie pozwoliła mu być rozmównym i wylewnym, co ma też swoisty urok i dobrze świadczy o charakterze autora.

Dogiele to b. stary ród, wyprowadzający się jeszcze od Jadźwingów z pod Grodna. Dzieciństwo miał patriarchalne. Nie rozwodzi się jednak autor nad niem. Wszystkie etapy swego rozwoju i życia usiłuje przedstawić krótko, w zwartych obrazkach rodzajowych, okraszonych wyborem humorem.

Rósł i uczył się w dobie największego ucisku narodowego i zakazu druków litewskich oraz narzucania Litwinom wydawnictw transponowanych z litewskiego na grażdankę. Tak chłopiec przebył wszystkie a różnorodne etapy, jakie przechodził w owej chwili dziejowej cały naród litewski. Dalej pobyt w gimnazjum lipawskim wśród krzyżujących się wpływów, potem w duchownym seminarjum kowieńskim, gdzie jeszcze mocno panował wtedy nastrój wszechpolski. Z kolei idą wikaryjaty, jeden, drugi, poczem karny pobyt z nakazu władz rządowych w słynnej Kretyndze, wreszcie placówki proboszczowskie. Wszędzie uwydatnia się, jak dobrym a wnikliwym obserwatorem życia i ludzi oraz wypadków, był ks. Dogelis. Weźmy chociażby opis przedwojennego klasztoru Bernardynów w Kretyndze, z wymierającym wówczas gronem kilku ojców i braci.

Osobny rozdział w życiu autora wspomnień stanowią zasługi dokoła pełnego przygód przemytu książek litewskich z Prus do Litwy. Naogół czegoż się nie imał inteligentny a ruchliwy kapłan patrijota? Trudno znaleźć rodzaj pracy, którejby nie tknęła jego niesrudzona ręka. Wojna światowa rzuciła go do Wilna, gdzie przebył cały czas jej (od zajęcia Kowna), pracując wydawniczo w Narod. Komitecie Litewskim aż do przyścia po raz pierwszy do Wilna bolszewików, którzy go zaarrestowali i wywieźli na wschód jako zakładnika.

Ciekawa to książka i cenny wkład do dziejów Litwy w w.w. XIX i XX. *Rimtas*

Ósma konfiskata.

Ostatni numer „Przeglądu Wileńskiego“ z datą 6 listopada b. r. został skonfiskowany za artykuł p. t. „Na marginesie życia litewskiego“.

Od Wydawnictwa.

Zdaje się, że i po N. Roku nie będziemy mogli wznowić wydawania „Przeglądu Wileńskiego“ w dawnej formie. Wiele względów staje temu na przeszkodzie. Prosimy dotychczasowych naszych prenumeratorów o nienadsyłanie tymczasem przedpłaty na rok przyszły, jedynie o powiadomienie nas, czy życzą sobie nadal otrzymywać pismo. Wierzymy, że należność zostanie uregulowana wówczas, gdy ustalimy tryb wydawnictwa i powiadomimy o tem naszych odbiorców.

